

CZESIA, ARUŚ I KAROL CZWARTY

Górzewo wita nas strumieniami deszczu. Widocznie ta wielka chmura znad Pruszcza Gdańskiego postanowiła przenieść się tuż obok, na wybrzeże. Może w celach turystycznych, tak jak my?

Podjeżdżamy pod dom pani Czesi wyłącznie dzięki przytomności mojego umysłu, ponieważ Malina w ogóle nie rozpoznaje rybackiej wioski sprzed lat.

– O matko boska! – Łapie się za głowę na widok restauracji Belvedere oraz hotelu Nowy Orlean.

To prawie jak St. Dzierżoń, prawda? Tylko może jeszcze dziwniej...

– Tu jeszcze, ciociu, jest pizzeria Venezia i Irena Shop... – czuję się w obowiązku poinformować o wszelkich światowych nowinkach w tej zapadłej dziurze. – I Disco Kashoob – uzupełniam cichutko.

Swoją drogą, gdybym była prawdziwym Kaszubem, to wymyśliłabym dla dyskoteki nazwę w rodzimym języku. Jest bardzo intrygujący i jedyny w swoim rodzaju. Po co więc właściciele silą się na głupawą angielszczyznę? Może ma być zabawniej? Albo bardziej światowo.

– Co ty powiesz? O tym wszystkim Alina słowem nie wspomniała... – Ciotka wzdycha ciężko. – O! I Koko-rożen – zauważa z przekąsem, pokazując budę z kurczakami po prawej stronie ulicy.

– Zakład, że ich kurczaki ciągle stoją w korku na obwodnicy! – mówię.

– Raczej leżą i gdaczą lodowatymi dziobami. – Malina parska śmiechem i skręcamy w ulicę Jarzębinową, która powinna nazywać się Gęsia Street. Pasowałoby znakomicie do hotelu Nowy Orlean, nie sądzicie?

Pani Czesia wybiega nam na spotkanie. Przez rok nic się nie zmieniła – ten sam szczerzy uśmiech pod wąsem i kwiecisty fartuch, sięgający niemal do kostek.

– Malinka! Dziecko kochane! No niechże ja cię uściskam! – wykrzykuje z entuzjazmem i rzuca się, by ucałować ciotkę.

Deszcz popaduje już tylko drobnymi kroplami, więc wyskakujemy z samochodu jedno po drugim. Niektórzy, czyli Krzysio i Rufus, z moją pomocą.

– Ile dzieciaków! – cieszy się pani Czesia. – Mój Aruś nareszcie będzie miał towarzystwo! No, Aruś, przywitaj się ładnie! – woła w kierunku schodków, na których siedzi pulchniutki chłopiec zapatrzony w ekran telefonu komórkowego.

To musi być jedyny wnuk pani Czesi. Zawsze nam o nim kwieście opowiada, ale spotykamy go tutaj pierwszy raz. Widocznie przyjechał do babci na wakacje.

– Aruś! Chodźże, no! – nawołuje energicznie pani Czesia, ale chłopak nie reaguje. Zupełnie jakby był głuchy. – Te nowoczesne wynalazki, psia nędza! – złorzeczy nasza gospodyni. – Tylko dzieci psują, tyle wam powiem! Mam nadzieję, żeście ze sobą nie wzięli żadnych komputerów ani nic takiego? – pytanie skierowane jest najwyraźniej do mnie, bo przecież jestem najstarsza.

Zaprzeczam więc gorliwie. Jak wakacje, to wakacje. Niepotrzebne są komputery i inne takie tam, bo inaczej zupełnie zardzewieje nam wyobraźnia, nie sądzicie? Ja w ogóle uważam, że ludzie mało dbają o swoją wyobraźnię, a im są starsi, tym gorzej im idzie. Dzieci to jeszcze jako tako – bawią się, wymyślają, co się da, i biegają na wyścigi z wiatrem. No ale nie dotyczy to chyba Arusia. Myślę, że jest w moim wieku, ale zabawy i bieganie raczej mu nie w głowie...

– Komputer mu zamkłam w kredensie, na klucz, bo nic, tylko się w niego gapił! A jak co, to w kółko słyszałam: „Zaraz, babcia! Jestem w grze! Zostały mi jeszcze dwa życia!”. Jakie dwa życia, ja się pytam? Czy to jest po katolicku? Myślisz, Malinka, że może ja do księdza z nim powinnam? Może nam Arusia co opętało, jaki diabeł czy jak?

– To nie diabeł, pani Czesiu. Nie ma co księdzu zawracać głowy, poradzimy sobie sami.

– Malina uśmiecha się krzepiąco i podchodzi do chłopaka.

– HALO! – Macha mu przed nosem swoją jedwabną chusteczką w motyle.

– Co jest? – burczy pod nosem Aruś i niechętnie odrywa wzrok od komórki.

– Babcia prosiła, żebyś do nas podszedł, ale chyba nie słyszałeś, więc my podchodzimy do ciebie – wyjaśnia ciotka. – Przedstawcie się wszyscy! – mówi do nas.

Aruś z niechęcią porzuca swoje zajęcie i wita się po kolei z każdym. Robi taką łaskę jak Misio! Słowo daję! Nie wiem naprawdę, jak ja wytrzymam w towarzystwie takich gburów.

– A co to? – pyta pogardliwie na widok Rufusa.

Jak wiecie, foksterier mojej ciotki mało przypomina psa, ale to naprawdę nie powód, żeby sobie z niego kpić. Zwłaszcza że jest stary i zasługuje na odrobinę szacunku.

– To jest dziki pies dingo. Prosto z Luizjany – wyjaśniam ze złością, choć kompletnie bez sensu. Wiecie zapewne, że dzikie psy dingo wyglądają inaczej i nie spotyka się ich w Luizjanie. Malina, Mania i Misio rzucają mi zdumione spojrzenia, ale nic nie mówią. Wygląda na to, że im Aruś również nie przypadł do gustu.

– ha. – Wstręciuch przyjmuje do wiadomości moje wyjaśnienia i kiwa głową.

Założę się, że nie ma bladego pojęcia o psach, a jedyne, jakie zauważa, pojawiają się na ekranie jego komputera. Tego, który mieszka obecnie w kredensie.

– Kąpałeś się już w morzu? – brnie dalej ciotka, gdy powitania dobiegają końca.

– Nie lubię wody. Jest za mokra – mówi Aruś.

– A jagody są w lesie? – nie poddaje się Malina.

– Nie lubię lasu. Jest za dużo kleszczy – cedzi przez zęby chłopak.

– A co lubisz najbardziej?

Mam nadzieję, że na tym zakończy się ta męcząca wymiana zdań.

– Komputery. Ale babcia bezprawnie odebrała mi mój sprzęt. Napiszę w tej sprawie do rzecznika obrony praw dziecka. – Aruś posyła swojej babci mordercze spojrzenie.

– Ja ci dam rzecznika, PSIA NĘDZA! – złości się pani Czesia.

– Zosia, co to znaczy: psia nędza? – pyta szeptem Mania.

– Przekleństwo takie – odszeptuję.

– Tak się mówi tylko nad morzem? – docieka siostra. – Bo w Łomiankach nigdy tego nie słyszałam. Ani w Warszawie.

– Cii... W całej Polsce tak się mówi – wyjaśniam.

Na szczęście deszcz znowu zaczyna mocniej padać i Aruś zmuszony jest opuścić stanowisko na schodkach. Czmycha do domu i Bogu dzięki. Co za męczący osobnik, nie sądzicie?

Pani Czesia prowadzi nas do pokoiku na parterze, z osobną łazienką i wyjściem na mały tarasik. Tuż przy nim stoi drewniana piaskownica i nieduża huśtawka.

– Kisio lobi baby! – cieszy się młodszy kuzyn i nie zważając na padający deszcz, pędzi prosto do piaskownicy.

– Krzysiu! Kalosze i peleryna! – woła za nim ciotka, ale malec jej nie słucha. – A niech tam sobie trochę zmoknie. – Macha ręką.

– Może urosnie jak grzyb po deszczu. – stwierdza Mania. Rufus chyba też chce urosnąć, bo piszczy i miota się histerycznie w pobliżu okna. Ponieważ w zasięgu

wzroku nie ma żadnej gęsi, wyprowadzam go i przywiązuję do ławki. Idiota natychmiast zaczyna ujadać jak oszalały, a z kąta podwórka rozlega się różne warknięcie. Całkiem zapomniałam! To pewnie ten kaszubski kundel z królewskim rodowodem. Jest w tak podeszłym wieku, że już nie powinien się ruszać. I prawdę mówiąc, nie spodziewałam się go tutaj zobaczyć. Bardzo chorował zeszłego lata, ale jak widać – wyszedł z tego.

Malina z osłupieniem przygląda się czarnemu psu, gramolącemu się z budy.

– Pani Czesiu! Czy to Karol Drugi? Niemożliwe... Tyle lat minęło...

– A nie, Malinka! Gdzie tam! To jego następca, Karol Czwarty. Był jeszcze trzeci, ale pochorował się nam strasznie i długo nie pociągnął.

– Jest identyczny! – Ciotka kręci głową z niedowierzaniem.

– A bo to i jeden psi ród. Ale jak idzie o charakter, na razie Karol Pierwszy był najlepszy. Lisa przegonił. Nigdy mu tego nie zapomnę. O, to był taki pies jak człowiek, tylko mówić nie umiał.

Nasz tata śmieje się, że tu, w Górzewie, sprawuje władzę psia dynastia Karolingów. I rzeczywiście coś w tym jest. Pani Czesia nadaje kolejnym czworonogom zawsze to samo imię, no i oczywiście wszyscy następcy są potomkami pradziada Karola Pierwszego.

Karol Czwarty poszczekuje władczy tonem, a Rufus milknie z godnością. Odwraca pysk w przeciwną stronę i węszy z zainteresowaniem.

– Wyczuł gęsi – informuje mnie Mania i pokazuje w kierunku drewnianej altanki.

Nie do wiary! Ukochane gęsi pani Czesi mają własne terytorium, ogrodzone drewnianym płotkiem. Na środku piaszczystego klepiska (upstrzonego dobrze wicie czym) wznosi się azurowa altanka. W zeszłym roku bawiłyśmy się w niej z Manią. Nawet fajnie tam było. Teraz nasze ulubione miejsce jest zajęte przez drób. Coś takiego!

– A czemu gęsi mieszkają teraz w altance? – pytam panią Czesię.

– Och, Zosiu... Miałam wypadek... - wzdycha gospodyni. – Wszystko przez te KROSTY

– mówi ze zgrozą.

– KROSTY? – upewniam się.

– Przecie mówię. Takie buty gumienne. Od córki dostałam. Wiesz na pewno, z dziurkami, że niby wygodne. Oj, Zosiu... Może i wygodne, ale jakżem się raz poślizgła, z przeproszeniem, na gęsim gównie... Nogę sobie skręciłam. O! Tutaj!

Pani Czesia pokazuje mi swoją nogę na wysokości kostki. W tej chwili powinna mnie zalać fala współczucia, ale nic takiego się nie dzieje. Muszę natomiast powstrzymać się ze wszystkich sił, by nie parsknąć śmiechem. Mam nadzieję, że rozumiecie.

– A czy one teraz na pewno dobrze się czują? – pyta Mania.

– Kto? – nie rozumiem.

– No gęsi. Przecież ten płot je ogranicza. – wyjaśnia moja siostra.

Patrzmy na siebie z panią Czesią i nie bardzo wiemy, co odpowiedzieć. Nie wydaje wam się, że Mania za bardzo przejmuję się losem drobiu? Najpierw te mrożone kurczaki, teraz gęsi (na szczęście jeszcze żywe).

– Ach, te dzieci... Skąd one są teraz takie mądre...? – wzdycha gospodyni.

Mania ma gotową odpowiedź.

– Z przedszkola, OCZEWIŚCIE! – mówi z uśmiechem.

– Dziewczynki! Chodźcie do samochodu po rzeczy – woła Malina.

Pędzimy więc z Manią, napotyając po drodze wściekłego Misia, który taszczy swoją walizę.

– Ale tu jest głupio! – dzieli się z nami swoim trafnym spostrzeżeniem.

Kiwamy głowami w milczeniu. Za mądrze faktycznie nie jest. Chyba że człowiek siedzi na plaży i gapi się na morze (pod warunkiem, że akurat nie pada, nie wieje albo nie grzeje za mocno).

Wygląda na to, że tylko Krzysio jest szczęśliwy. Stawia babki w piaskownicy i nawet mu nie przeszkadza, że nie bawi się na plaży, tylko na zwykłym podwórzu. Ciotka przenosi bagaże w milczeniu i widzę po jej minie, że nie jest zachwycona. A może to tylko zmęczenie po podróży?

Kiedy już wszystko ląduje w naszym pokoju, okazuje się, że nie jest on wcale takich rozmiarów, jak się spodziewałam. Albo przez ten rok urosłam, albo po prostu jest nas tu za dużo.

– Ja nie chcę tu być! – wścieka się Misio.

– To wyjdźmy stąd i chodźmy przywitać się z morzem – proponuje Malina.

– A nie wolisz odpocząć, ciociu? – pytam z troską.

W końcu nie jest lekko być kierowcą i opiekunem takiej bandy...

– Odpocznę, jak sobie popatrzę na Bałtyk – odpowiada Malina.

Ponieważ mama co roku w tej sytuacji stwierdza to samo, więc nie protestuję.

Wyruszamy niespiesznie w kierunku plaży, mijając po drodze stragany ze wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić. Wspomniałam wam o ich obecności. Oczywiście Misio pragnie natychmiast zaopatrzyć się w jakąś obrzydliwą plastikową lunetę, przez którą kompletnie nic nie widać, a Krzysio wypatruje wściekle różowego hipopotama, w którego brzuchu mieści się kolekcja foremek, sitko oraz łopatką i grabki. Obydwaj wyrażają stanowczy upór, przy czym młodszy daje się przekonać, by odłożyć zakupy na następny dzień. Z Misiem sprawa jest trudniejsza.

– Dostaniecie jutro kieszonkowe na cały wyjazd. I wtedy każdy będzie sobie mógł kupić jedną pamiątkę z Górzewa – mówi Malina.

– A czemu tylko jedną? – pyta Misio. – A poza tym ja chcę teraz!

– Ponieważ jedna wystarczy. A w tej chwili idziemy na plażę – tłumaczy Malina.

– To głupio! – Misio się obraża i ze złością kopie mały kamyk. Ten toczy się w zawrotnym tempie i uderza Manię w nogę.

– Ała! – piszczy moja siostra.

– Misiu! Uważaj! – ostrzega Malina.

– To nie moja wina, że wszędzie leżą kamienie – beczelnie odpowiada jej potomek.

– Zosiu, czy tutaj nie ma innej drogi? Tyle lat minęło od mojej ostatniej wizyty w tych okolicach, że niczego nie poznaję... – mówi ciotka z rozpaczą w głosie.

Wcale jej się nie dziwię, że ma już dość. Ale najlepsze dopiero przed nami... Zaraz zbliżymy się do strefy rekreacyjnej, czyli dmuchanej poduchy do skakania, plastikowych zabawek, które wprawia się w ruch za pomocą monet, oraz wypożyczalni gokartów. Kawalek dalej jest wata cukrowa, gofry z polewami, posypkami i bitą śmietaną oraz stanowisko z żelkami we wszystkich kolorach tęczy. Ilość konserwantów i barwników, występujących na skromnej powierzchni, oszałamia za każdym razem naszą NIH.

– Jest inna droga, ciociu, ale dłuższa, przez las – tłumaczę ze współczuciem.

– To prowadź, bo ja tu zaraz zwariuję – prosi Malina.

Spoglądamy na siebie z Manią zaniepokojone. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widziałyśmy zrezygnowanej Maliny, która przemawiałaby takim tonem...

Zręcznie kieruję całe towarzystwo w prawo. Tuż za budką z lodami jest wąziutka ścieżka prowadząca do leśnej dróżki wśród wrzosowisk. Szkoda, że jeszcze nie kwitną.

– Pamiętam to miejsce! – rozpromienia się ciotka. – Tutaj zawsze przyjeżdżałyśmy na rowerach zbierać bukiet wrzosu.

– O!!! Kisio ma yszkę! – informuje młodszy kuzyn.

– Szy-szkę! – poprawia go naburmuszony Misio. – I gdzie niby jest to morze? – pyta ze złością.

– Za górami, za lasami, OCZEWIŚCIE – wyjaśnia Mania.

– Ale wielka yszka! – cieszy się Krzysio.

– Jak chcesz, to wybudujemy dla niej szałas na plaży. I sobie tam zamieszka. Jak królewna – proponuje Mania.

– Tak! – zgadza się malec.

Kroczymy leśną drogą wśród wrzosowisk i jagodowych krzaczków. Lubię tędy chodzić, choć droga jest znacznie dłuższa. Przyjemnie wyobrazić sobie, że pomiędzy mchami mieszkają leśne duszki, w dziuplach kryją się elfy, a pod paprociami odpoczywają długowłose rusalki leśne.

Och, no wiem, że mi już nie wypada opowiadać takich rzeczy, ale przecież mam młodszą siostrę, a ona wierzy jeszcze w bajki. Więc się ze mnie nie śmiejcie, proszę...

Malina, podobnie jak Krzysio, także zbiera różne skarby. Śmieszny, pokrzywiony patyk, podobny do małej laleczki, pachnącą szyszkę, brązowy kamyczek w żółte cętki.

Przez chwilę zapominam o rzeczywistości, ale marudny głos Misia sprowadza mnie na ziemię.

– Dalej nie idem! – oświadcza stanowczo i z impetem siada na skraju dróżki.

– OCZEWIŚCIE, że idziesz, i to w podskokach – mówi z satysfakcją Mania. – Bo usiadłeś w mrowisku!

Wrzask, jaki rozlega się w tej chwili, mógłby naprawdę obudzić umarłego. Biedny Misio zrywa się jak oparzony i zaczyna wierzgać nogami w powietrzu, strącając jednocześnie niewidzialne mrówki z bluzy oraz spodni.

– Żartowałam! Mrowisko było tuż obok! – woła Mania.

– Jesteś głupia! – krzyczy Misio.

– Jak przestaniecie się kłócić, to usłyszycie to, co ja – mówi spokojnie Malina.

Misio i Mania milkną. Słyszą tylko śpiew ptaków, szum drzew i jeszcze jeden dźwięk, dobiegający z daleka.

– Morze nas woła. Słyszycie? – szepcze ciotka.

Krzysio i Mania robią wielkie oczy. Nawet Misio zamyka się na dobre. I wiecie co? Robi się jakoś tak uroczyście i spokojnie. Droga się oczywiście od tego nie skraca, ale dalej idziemy już bez kłótni i narzekania, a szum staje się coraz donośniejszy.

Nie wiem jak wy, ale ja uwielbiam wspinać się piaszczystą drogą prowadzącą między wydmy. Najpiękniejszy jest ten moment, gdy dociera się na górę i tak niewiele brakuje, by zobaczyć wodę. Błękitną, stalowoszarą, seledynową, granatową, srebrzystą, różową od zachodu słońca, gładką albo pofałdowaną i spienioną. Teraz morze jest wzburzone, a białe grzywy fal uderzają mocno o brzeg. Pachnie solą, wakacjami, słońcem i wolnością.

– Hurra! – woła na ten widok Malina, a potem ściąga sandały i rusza brzegiem po drewnianych schodkach. Wszyscy robimy to samo i po chwili moje stopy dotykają gładziutkiego piasku. Woda jest oczywiście lodowata. Tak jak zwykle. Skóra na nogach aż cierpnie z zimna, ale ja bardzo lubię to uczucie. Trwa tylko przez chwilę. Przynajmniej ja tak mam. Zaraz potem człowiek się przyzwyczaja do temperatury i godzinami tapla się w morzu. O ile nie jest Aliną Ćwiek-Wierzbowską. Ona kompletnie nie nadaje się do bałtyckich kąpeli. Po kilku sekundach zawsze ucieka z piskiem na brzeg.

– Jak pięknie... – wzdycha ciotka.

– Ooo! – Krzysio klaszcze w łapki, wskazując na płynący w oddali statek.

– Wieje! – zauważa z przekąsem Misio.

Też odkrył Amerykę! W Górzewie przeważnie wieje, tyle że raz słabiej, a raz mocniej. Dzisiaj wiatr jest naprawdę umiarkowany.

– Jutro weźmiemy ze sobą parawan – zapewnia Malina.

– A dzisiaj? – pyta starszy kuzyn.

– Dzisiaj naciągnij na głowę kaptur – radzi jego mama.

– Czy to piraci? – pyta Mania, śledząc uważnie jednostkę wodną, przemieszczającą się w oddali.

– Tu nie ma piratów! – z wyższością oznajmia Misio.

– Przecież mogą sobie przypląć. Piraci zawsze robią, co chcą. Nie wiesz o tym? – dziwi się moja siostra.

– Chyba w bajce – prycha pogardliwie kuzyn.

– Tu właśnie jest jak w bajce. Nie sądzicie? – Malina z zachwytem spogląda w dal.

– Ooo! – Krzysio podnosi z piasku malutką muszelkę i ogląda ją ze wszystkich stron.

– Chodź, Krzysiu. Zrobimy ten szałas dla twojej szyszki. I dla muszelki. – Mania bierze chłopca za rękę i prowadzi w stronę wydmy.

Tam można znaleźć najwięcej patyczków.

Budowanie szałasu okazuje się strzałem w dziesiątkę. Mania i Krzysio siedzą pochłonięci pracą. Misio wykopuje jakiś dołek w wilgotnym piasku. Ciotka patrzy na morze. A ja zbieram małe, gładkie kamyki. I wiecie co? Warto było przejechać tyle kilometrów, by znaleźć się tutaj i słuchać szumu fal. Słowo!